Nasz Przyjaciel

Dodatek do Głosu Wąbrzeskiego

Nr. 35. | Wąbrzeźno, sobota 5 września 1925. | Rok 2.

Ewangelja

św. Mateusza rozdz. 6, wiersz 27—33.

W on czas mówił Jezus uczniom Swoim: Żaden nie może dwom Panom służyć. Bo albo jednego będzie nienawidział, a drugiego będzie miłował; albo jednego trzymać się będzie, a drugim wzgardzi. Nie możecie Bogu służyć i mamonie. Dla tego powiadam wam, nie troszczcie się o życie wasze, cobyście jedli: ani o ciało wasze, czembyście się odziewali. Czyliż dusza wasza nie jest ważniejsza niż pokarm i ciało niźli odzienie? Wejrzyjcie na ptaki powietrzne, iż te nie sieją, ani orzą, ani zbierają do gumień; a Ojciec wasz niebieski żywi je. Czyliście wy niedaleko ważniejsi niż one? I któż z nas, troszcząc się, może przydać do wzrostu swego łokieć jeden? A o odzienie czemu się troszczycie? Przypatrzcie się liliom polnym, jako rosną: nie pracują, ani przędą. A powiadam wam, iż ani Salomon, we wszystkiej ozdobie swej, nie bywał tak przybrany, jako jedna z tych. A jesliż trawę jedną, która dziś jest, a jutro będzie w piec wrzucona, Bóg tak przyodziewa, jakóż daleko więcej nas, małowierni? Nie troszczcież się tedy, mówiąc: Cóż będziem jeść, albo co będziemy pili, albo czem się będziem przyodziewać? Boć się o to wszystko poganie wielce starają. Albowiem Ojciec wasz niebieski wie, że tego wszystkiego potrzebujecie. Szukajcież tedy naprzód Królestwa Bożego i sprawiedliwości Jego, a to wszystko będzie wam przydano.

Nauka z ewangelji.

Co znaczy Bogu służyć?

Znaczy pełnić wolę Bożą, albo to wszystko, czego Bóg od nas żąda w naszym urzędzie, lub stanie, wykonywać wiernie i gorliwie dla miłości Jego.

Komu mogą przynieść korzyść bogactwa?

Tym, którzy, jak wielu Świętych. wykonują uczynki miłosierdzia i w ten sposób gromadzą sobie skarb w niebie?

Dlaczego Chrystus Pan wskazuje na ptaki w powietrzu i lilie na polu?

Ażeby wzbudzić w nas ufność w Boską Opatrzność, która nawet ptaki i kwiaty żywi. I zaiste, jeżeli Bóg karmi młode kruki, które do Niego wołają (Psalm 150, 9) jeżeli żywe ptaki, które nie sieją nie żniwują i do gumien nie zbierają, o ile więcej troszczy się o człowieka, którego stworzył na Swe podobieństwo i zrobił dzieckiem Swem, jeżeli tylko jako dziecko się zachowuje, przestrzega Jego przykazań i dziecięcą ma zawsze do Niego ufność.

Czyż więc nie mamy się troszczyć i pracować?

To nie wynika z tego, co się powyżej powiedziało; Chrystus zabrania tylko za wielkich trosk, które człowieka do tego doprowadzają, że o Bogu zapomina i zaniedbuje sprawy zbawienia swej duszy. Zresztą Pan Bóg postanowił (I. Mojż. 13, 17—9), ażeby człowiek w pracy jadł owoce ziemi i w pocie oblicza swego chleb pożywał, a święty Paweł mówi: „Kto nie chce robić, niech też nie je". (2. Tess. 3, 10).

Co może nas uchronić od trosk zbyt wielkich?

Mocna i żywa wiara, iż Bóg może i chce nam dopomódz. Że może, jest pewnem i jasnem, gdyż jest wszechmogący; że chce, jest dla tego jasnem, gdyż na wielu miejscach Pismo św. to nam obiecał i nieskończenie jest wierny Swym obietnicom. Do tej żywej ufności, zachęca nas Chrystus słowy: „Wszystko, o cokolwiek modląc się prosicie, wierzcie, iż otrzymacie, a stanie się wam" (Marek 11, 27). Dla tego to rozkazuje nam także apostoł składać na Pana wszystkie troski nasze, gdyż on ma pieczę o nas (I. Piotr 5, 7). I jakżeby miał nie troszczyć się o nas Bóg, który dał nam Syna Swego, a z nim wszystko. Dla tega to mówi św. Augustyn: „Jak możesz wątpić, iż Bóg ci to da, kiedy raczył wszystko złe wziąść na Siebie?"

Wesołe koncepty oryginała.

Przed kilku dniami zmarł w Kopenhadze jeden z najbardziej znanych duńskich księgarzy, Ernest Bojesen, dożywszy 76 roku życia. Był to oryginał w najlepszem znaczeniu tego wyrazu. Pociągał on ku sobie ludzi swoim humorem i wesołymi figlami, które lubił płatać.

Gazety kopenhaskie prześcigają się obecnie w opisywaniu anegdot z życia zmarłego księgarza.

Tak naprzykład Bojesen miał od szeregu lat zwyczaj jadać śniadania w jednej i tej samej restauracji, przy tym samym stoliku i składają-

ce się z jednych i tych samych potraw. Pewnego razu zaprosił on swych kolegów do swego domu na kolację, przyczem kolacja ta miała niczem się nie różnić od jego zwykłego śniadania. Ku swemu zdumieniu, goście ujrzeli jadalnię swego przyjaciela przerobioną na wierną kopję pokoju restauracyjnego, do którego Bojesen zwykle uczęszczał, a i serwis był identyczny z serwisem restauracyjnym.

Na stole leżały zwykłe restauracyjne spisy potraw, a także kelner z restauracji był zamówiony, ale zdawał się nic sobie nie robić z obecnych gości. G o s p o d a r z zamawiał u niego potrawy, a ten gestem odpowiedział, że jego kolega ten stół obsługuje. Dopiero po tym wstępie zjawił się inny kelner z wielkim półmiskiem, napełnionym ostrygami.

Innym razem zaprosił Bojesen swoich przyjaciół na wilję do swojej willi. Goście byli zdziwieni, że nie było tam tradycyjnej choinki. Tymczasem Bojesen zaprosił gości na spacer do lasu.

Dopiero tam zdumieni goście ujrzeli jedno z drzew ubrane całkowicie jak choinka. Oryginalnie to wyglądało w lesie na tle zaśnieżonej ziemi.

Z okazji 50-tej rocznicy urodzin głośnego w Kopenhadze rysownika Alfreda Schmidta, przyjaciele jubilata postanowili na propozycję Bojesena urządzić ucztę, na której każdy gość otrzymać miał wielką maskę, sporządzoną według karykatur rysunku jubilata. Przez cały czas uczty goście siedzieli w maskach, a ponieważ maski przedstawiały różne wybitne osobistości w karykaturze, przeto przywódca socjalistów Borgbjerg siedział obok cesarza Wilhelma, a królowa Wiktorja, Ibsen, Björnson obok innych sław ówczesnych.

Pewnego razu znajomi zaprosili Bojesena do swego domu na maskowy wieczór sylwestrowy. Bojesen podziękował za zaproszenie, ale odpisał, że sam z niego nie skorzysta, ale wyśle za siebie swego starego wuja. Stary pan istotnie się pojawił i należał do najweselszych ze wszystkich gości. Nad ranem po zdemaskowaniu okazało się, że rolę wuja odgrywał znany w całem mieście roznosiciel gazet, któremu Bojesen płacił za ten występ po 75 halerzy na godzinę.

Mając już lat przeszło 70 Bojesen wyruszył nagle w sześciomiesięczną podróż do Ameryki Południowej. Uczynił to dlatego, iż zaprzyjaźniwszy się w Europie z kilku południowymi Amerykanami, obiecał im zjeść z nimi wspólnie w Ameryce obiad. Obiecał i — słowa dotrzymał.

Przy kołysce Maryi.

Pójdźcie kołysać dziś w słodkiej radości
Cudownej piękności anielskie dziecię —
Pójdźcie korzystać z tak słodkiej wonności,
Która zwiastuje szczęście na świecie!
Och, Anno święta, jakaś ty szczęśliwa —
Pozwól kołysać, o matko troskliwa.

Twarzyczka dzieciny jako lilija
A włoski jedwabne, lśniące jak złoto!
To nasza Królewna, święta Maryja!
Wstań Gwiazdo i witaj, przedziwna Cnoto!
Nie dość podobna napatrzeć się tobie,
Ach jakżeś nam błogo w tak pięknej dobie!

Nóżki Królewny zetrą niezadługo
Kark hardy wężowi. Ona zwycięży!
Pójdź więc i przypatrz się dobrze jej sługo,
Jak rączki pokruszą czartowskie więzy.
Ona to żary piekelne ochłodzi,
Z nią nam zbawienia godzina nadchodzi!

Spoczynku w niebie anieli nie mają,
Spieszą i radzi dziś dążą na ziemię!
O Anno! Anieli ukołysają
Bez pierworodnego grzechu twe plemię!
A my grzesznicy tobie winszujemy
I razem z anioły się radujemy!

Móg Ojciec corce swojej błogosławi,
Bóg syn mateczce śle swoje anioły,
Oblubienicę swą Duch święty sławi! —
Trójca święta zsyła nam dzień wesoły —
Bo wśród nas jest matka Boskiego Syna
Radosna świat cały ogarnia nowina!

Na niebie Ona i ziemi jaśnieje —
Nad Maryi kołyską słońce blask rozślniewą,
Nad Maryi kołyską zbawczy zefir wieje,
Nad Maryi kołyską głos zbawczy rozbrzmiewa!
Więc pozwól Anno święta, pozwól nam tu
Twę dziecię kołysać — do złotego snu!

Aleksander Wolski.

WESOŁY KĄCIK

W wagonie.

(Zdarzenie prawdziwe).

Do przedziału drugiej klasy przepełnionego kurjera Poznań—Warszawa wsiada na stacji Gniezno jakaś pani. W przedziale znajdują się między innymi jakiś młody porucznik i starszy dobrej tuszy major. Na widok wchodzącej pani porucznik zachnął się niecierpliwie i zawołał:

— Widzi pani przecież, że tu miejsca niema. Usiądzie chyba pani na moich kolanach.

Pani nie zdążyła już wysiąść, gdy pociąg ruszył. Major podnosi się i ofiaruje jej swe miejsce. Pani wzbrania się usiąść, uważając, że jest jeszcze młoda i może stać.

Nic nie szkodzi, że ja starszy powiada major — niech pani spokojnie usiądzie. Co do mnie, to ja skorzystam z uprzejmości pana porucznika i zajmę ofiarowane przezeń miejsce na kolanach.

Tak się stało, a w przedziale ogólny śmiech.

Nie pytał się.

Policjant spotkał znanego opryszka, który niósł nowe buty i pyta go:

— Skąd masz te buty?

— Kupiłem!

— Ile kosztują?

— Nie pytałem się.

W restauracji.

Kelner do gościa: — Pan miał zupę pomidorową, czy rakową?

Gość: Hm... nie wiem, bo jakoś mydłem smakowała.

Kelner: — A to pan miał pomidorową, bo zupę rakową czuć naftą.

W szkole.

Nauczyciel: — Władku! Dziś znowu spóźniłeś się do szkoły! dlaczego?

Uczeń: — Tatuś bił się z mamusią, a ja czekałem końca, bo chciałem wiedzieć kto zwycięży.

CZARNY RYCERZ

Opowiadanie historyczne z XI wieku

36) przez

WALEREGO PRZYBOROWSKIEGO

Bojarzyna Agafia sopór z ryby zgotowała i jeść go nie było kiedy czasu i czuję, żem głodny, tak... głodny jestem i żołądek mam taki pusty, jak kobiałka żebracza. Bodaj to siarczyste pioruny!..

Tak mruczał i narzekał Leszek, jadąc za rycerzem, który gnał wyciągniętym kłusem, a giermek aż stękał, że się tak niegodziwie trząść musi i że błoto obryzguje jego piękne, żółte buty. Przyjechali nakoniec przed piękny dworzec królewski, pełen ludzi, rycerstwa pogato strojnego, gwaru i szumu. Z trudem Mikołaj dostał się do króla, który właśnie spożywszy obiad, jak mu powiadano, spał w swej komorze. Czekać więc musiał dłudo, aż nakoniec doczekawszy się, gdy już i inni rycerze przybyli z tem samem, co i on, żądaniem, puszczono ich przecież do króla. Bolesław siedział na miękkiej, carogrodzkiej sofie, pokrytej wspaniałym kobiercem, ubrany w obcisłe spodnie, w ciżmy czerwone z długiemi nosami, i ziewał straszliwie. Gdy czarny rycerz wszedł do świetlicy i pokłonił się królowi, ten spytał:

— Cóż mi powiecie Mikołaju z Żembocina? co tam nowego?

— Miłościwy panie, już musieliście słyszeć, że u nas w domu niewolnicy i kmiecie powstali, domy nasze napadają, dobytek łupią żony i dziateczki mordują...

Król przeciągnął się, ziewnął i rzekł:

— Słyszałem o tem... podobno ktoś tam z pod Krakowa przybył dzisiaj... więc cóż chcecie?

— Miłościwy panie, rzeknie marszcząc brew Mikołaj — przychodzimy prosić was, byś nas puścił do domu, albo najlepiej sam z nami wracał.

— Po co? spytał król ostro, prostując się na siedzeniu.

— Jakto po co, miłościwy panie? po to, by niewolników ukarać, ocalić to, co się jeszcze ocalić da...

— Głupstwo! zawołał król, — że ta kmiecie trochę wam łbów przytrą, to dobrze, zanadtoście wzrośli i dawną wolę chcecie na niemiecką niewolę zamienić. Otóż ja na to nie pozwolę, jakem Bolesław!..

Miłościwy panie, więc jakże? więc mamy dozwolić, by nam niewolnicy żrny mordowali?

— Co już mieli pomordować, to pomordowali... wracać teraz niema po co... ja ruszyć się z Kijowa nie mogę. Tu bojary spiski knują, posyłali do kniazia Wszesława do Połocka, by przyszedł im z pomocą,nas i Izasława wygnał. No! niechże przyjdzie i spróbuje.

Wstał, wyprostował swą olbrzymią, krępą silną postać, potrząsnął lwią grzywą na czole i rzekł:

— Nie mogę się teraz ruszyć z Kijowa i nie ruszę się. Na jesień, jak zboża zbiorą, owoce obrodzą, po borach pszczoły miody poskładają, pójdziemy z powrotem do Krakowa i wtedy sądzić posnnę niewolników i kmieciów. Kogo ukarać trzeba będzie, ukarzę, z mej mocy królewskiej, ale wam nie pozwolę pomsty czynić. Jam król wasz i wódz wasz i taką jest moja wola!

— Miłościwy panie, zawołał Mikołaj widocznie w gniewie, bo oczy błyszczały mu jak dwa ogniste pioruny, a brew się groźnie zmarszczyła — miłościwy panie, my tu ani chwili zostać nie możemy. Milsze nam nasze żony, dziatki, nasz dobytek, niż wszystkie Kijowy na świecie.

Król groźnie się wyprostował. Jego oczy szeroko się roztworzyły, postąpił parę kroków naprzód ku Mikołajowi i spytał ostro:

— Więc co?

— Więc wrócić musimy i wrócimy.

— Tak... wtedy, jak ja pozwolę.

— Miłościwy panie!

— Mikołaju z Żembocina, powiedziałem ci wolę moja. Kto jej nie posłucha, tego prawem wojennem sądzić będę i końmi rozszarpać każę na przykład i postrach innych. Nie chcę cię słuchać więcej, możesz odejść!

Odwrócił się krol dumnie od proszącego i szedł ku oknu. Mikołaj zawahał się, postąpił parę kroków i zawołał głosem żałośnym.

— Królu żali serca nie masz?

— Mam tylko wolę! odejdź Mikołaju... bom gniewny! Jeszcze raz powtarzam, nikomu jechać nie pozwolę, a biada temu, zawołał strasznym głosem podnosząc rękę, kto mię nie posłucha. Lepiej, żeby się wcale na świat nie rodził. Dość tego! odejdź stąd i jutro z twoim pocztem staw się tu przed moim dworcem.

Mikołaj zawrócił się, drżąc cały od gniewu i mruczał:

— Nie obaczysz mnie tu jutro... jutro już ja będę stąd daleko!

Gniewny, klnąc straszliwie, miotając się jak szalôny, dosiadł konia i pędem, na wielkie przerażenie i jeszcze większe stękanie Leszka, pognał do swego dworca.

— Skończyło się, wszystko się skończyło — jęczał Leszek — o! mój miłosierny Boże, jak ten koń niegodziwie trzęsie. I czego ten mój dziedzic tak leci, jakby go stu Połoczan goniło! nie wytrzymam, dalibóg nie wytrzymam. O! psie życie, psia ludzka dolo! Tak mi tu było dobrze w Kijowie, a teraz... Żebym ja był królem, tobym się stąd do śmierci nie ruszył. Ale cóż? mądrego człowieka to królem nie zrobią, tylko takiego, co mu się wiecznie we łbie pali i skóra go świerzbi!

Przyjechali nakoniec do swego dworca i Mikołaj zawołał:

— Leszku, chodź za mną, mam ci coś rzec.

— Cóż tam będzie nowego? mruknął Leszek, zsiadając ciężko z konia i stękając głośno. Gładził się ręką po plecach i prawił:

Uf! nie, żeby ten z piekła nie wylazł, kto wynalazł jazdę na koniu. Krzyż człeka boli, wszystko boli...

Ruszył powoli, oddychając ciężko, jęcząc za rycerzem, a gdy się znaleźli w świetnicy, Mikołaj rzekł:

— Dopilnuj, by wszystko do drogi było gotowe. Niech ludzie zaraz różnemi ulicami wyjadą za mury i czekają na mnie na uroczysku, nad rzeką... Jak zmrok zapadnie, wyruszymy

je, ty i skotarz. Dla skotarza trzeba konia... Nic nikomu nie gadać. Ludziom powiedzieć, że pojedziemy na wieczerzę, na ucztę, do wojewody Wszebora. o dwie mile stąd... Pilnuj się, byś słówka nie pisnął. Zabrać wszystko stąd, co się tylko zabrać da, ale wozów zbytecznie nie obciążać... Roztopy są, drogi popsute, błota wielkie..

— Więc... dziedzicu, jedziemy z Kijowa?

— Jedziemy.

— Na zawsze?

— A na zawsze?

— Do Żembocina?

— Tak...

Skrzywił się okropnie Leszek i w małych jego oczkach łzy błysnęły, ale nic nie rzekł. Machnął tylko rozpaczliwie ręką i wyszedł wypełnić rozkazy swego pana.

Gdy już ludzi i wozy różnemi drogami, żeby uwagi na siebie nie zwróciły, wyprawił, poszedł do swej izby, rzucił się na miękkie krzesło, poduszkami wysłane i zapłakał:

— Otóż to dola ludzka. Żegnajcie mi słodkie wczasy, ciepłe pierzyny, carogrodzkie owce, cypryjskie wina, ryby zamorskie, pieczenie soczyste, podpłomyki słodziutkie, kołacze z miodem, kasze smaczne, tłuste szperki i soporki sytne... wszystko się skończyło! O! psie życie, psie życie.

Agafia gospodyni przyszła do niego i spytała, czy jeść czego nie będzie.

— Ano dajcie matuś, dajcie, co tam macie. Niech przynajmniej ostatni raz użyję.

To też tak użył, zwłaszcza mocnego wina cypryjskiego, że kiedy zmrok zapadł i rycerz wołał, by mu konia dawano, ledwie wdrapał się na siodło i to tylko przy pomocy skotarza. Jadąc kiwał się szkaradnie i płakał rzewliwie.

O milę za Kijowem, na uroczysku nad Dnieprem, Czarny rycerz złączył się ze swym orszakiem i wozami, i puścił się w daleką, długą podróż do Żembocina.

XXI.

Życie w wieży.

Tymczasem, gdy się to wszystko działo w Kijowie, w Żembocinie, w murowanej wieży, biedne, zamknięte kobiety oczekiwały zmiłowania Bożego. Wyprawiwszy w poselstwie do pana Mikołaja skotarza, gdy minęła jesień, a za nią przeszła zima i wiosna się rozpoczęła, oczekiwanie na jakąś wieść od niego zaczęło być coraz niecierpliwsze. Śniegi topniały, lody spływały, zielona ruń się na polach ukazała, drzewa pączki puszczały, skowronek nucił swą piosnkę pod jasnym błękitem nieba, od puszczy szła świeża jakaś woń, a o skotarzu wieści nie było.

— Musiał gdzie przepaść! mówiła zniechęcona Małgorzata — zbóje go zabili, albo zwierz dziki go pożarł, albo może gdzie z zimna i głodu umarł. Do Kijowa to przecie daleko, bardzo musi być daleko.

Słowa te jednak wygłaszała Małgorzata do siebie, nie chcąc smucić i odbierać resztki odwagi swoim towarzyszkom, które od jesieni ogromnie schudły i pobladły mocno. Nawet Miłosława, hoża, rumiana i wesoła dotąd dziewczyna, teraz godzinami całemi siedziała smutna, a nawet często głodna, bardzo głodna.

Gdy się bowiem zapasy zabrane z dworu Żembocińskiego wyczerpały, a wyczerpać się wkrótce musiały, gdyż było ich nie wiele, dzięki zabiegom Jędzy, księdza Wszerada, Miłosławy i Świętochny, zdołano zgromadzić nieco nowych na długą zimę. Co dzień pod przewodnictwem Jędzy robiono podziemnem przejściem wyprawę do puszczy. Trzeba było jednak zachowywać ogromne ostrożności, bo bór przepełniony był niewolnikami i ich dziećmi, które włóczyły się i polowały lub sidła zastawiały. Ta okoliczność przyczyniła się bardzo znacznie do tego, że nie zdołano zebrać tyle żywności, ile w innych czasach można jej było zebrać. Zwierz bowiem wystraszony cofnął się w głąb puszczy, w nieprzebyte, lub nie znane gąszcze i moczary, tak, że nieraz zdarzyło się, że z wyprawy nic nie przynoszono, albo co najwięcej kilka ptaszków, zająca lub też rybek parę. Wprawdzie ksiądz Wszerad wymykając się na swą rękę, zdołał znieść znaczny zapas grochu i nieco zboża w snopkach, ale to wszystko mogło ledwie starczyć na miesiąc. A zima przecież długa i straszna!

— To na nic się nie przyda, rzekła raz Jędza, gdy już co dzień przymrozki brały — zima za pasem i jeno patrzeć, jak pocznie śniegiem sypać. Cóż wtedy zrobimy? z głodu pomrzemy chyba. Tego, co tu jest, będzie na miesiąc. nie dłużej... a potem?

— Co Bóg da, to będzie! rzekł na to ksiądz — dotąd bronił nas przeciw zbójcom, obroni i nadal. Przyjdzie zima, to i oni odejdą też od wieży i wolniejsi będziemy.

— Cóż nam z tego przyjdzie! zawołała pani Małgorzata — ze wsi nie wyjdą i oko zawsze będą mieli na wieżę. Na dziedzińcu dworskim budują sobie chaty i budy...

— I dokoła wieży je pobudują — wtrąciła Jędza — wiem o tem, bom z nimi gadała. Oni mnie się boją i mają mnie za największą waszą, dziedziczko, nieprzyjaciółkę. Czasem mi co dadzą a ten połeć sadła, com go onegdaj przyniosła, to od nich wyżebrałam. Nie wiedzieli osły, że to dla was, a nie dla mnie. Otóż o tem gadać, że nam lepiej będzie w zimie, to na nic się nie zda. Trzeba coś radzić i ja taką daję radę. Wy pani dziedziczko, pani Bogna i ksiądz Wszerad, zostańcie w wieży i strzeżcie jej, jak dotąd Oni już teraz napadać nie będą. bo gadają: po co my mamy krew lać, kiedy wieża wcześniej czy później sama się musi poddać z głodu, i oni myślą, że tu już nic nie ma do jedzenia, albo nie wiele. Siedźcież tedy dziedziczko sobie spokojnie, a ksiądz Wszerad niech jeno drwa zbiera, żeby było czem przez zimę palić. Co dzień możecie wiązkę drzewa nagromadzić i wciągnąć do lochu. Niech tam sobie leży... później sprowadzimy je do wieży.

— Tak! wtrącił ksiądz — drew trzeba i dużo drew, żebyśmy tu nie pomarzli.

— Otoż to ciągnęła Jędza — a my tymczasem, to jest ja Świętochna i Miłosława, wziąwszy łuki, oszczepy, sidła i więcierze wyruszymy na wielką wyprawę do puszczy. Pójdziemy w jej głąb... daleko... gdzie zwierza jest dosyć, barci z miodem i ryb po wodach.

— A jak was spotkają niewolnicy? spytała pani Małgorzata.

(Ciąg dalszy nastąpi)